

ciółki, która jest chora i uparta i mieliśmy najdziwniejszą rozmowę o duszy i o ciele. Był to rodzaj walki. Jestem pewna, że pomyślał, że jestem najgłupszą kobietą.

— Z jakiego powodu?

— Przypuszczam dlatego, że zajęłam dość sentymentalne stanowisko. Pan nie wie, że my kobiety obieramy zawsze sentymentalny punkt widzenia. Mój lekarz był bardzo uczony i okropnie sceptyczny. Myślał, że jestem głupią wizjonerką.

— A pani co o nim pomyślała?

— Obawiam się, że go mam za skrajnego materialistę. Tak długo zajmował się ciałem, że wierzy tylko w ciało i wszystko do niego odnosi. Każde uczucie, według niego, jest tylko grą nerwu w komórce szarego mózgu. Mogę twierdzić, że uważa, że nawet miłość może podlegać operacji. A co do tego, żeby kto miał nieśmiertelną duszę — ośmieliłam się, — będąc z natury odważną — zrobić wzmiankę o możliwości posiadania takowej, ale pożałowałam tego następnie.

— Proszę nam powiedzieć dlaczego?

— Zostałam zasypaną gradem argumentów i pogardy. Nie wiele sobie robiłam z pogardy, ale argumenty mnie znudziły.

— A czy panią przekonały?

— Mr Armine! czy pan kiedy widział, żeby kobieta została przekonana argumentami?

Zaśmiała się.

— A zatem pani wciąż wierzy, że posiada duszę nieśmiertelną?

— Więcej, niż kiedykolwiek.

Śmiała się także, ale prawie nagle spoważniała i rzekła:

— Nigdy nie pozwolę, aby ktokolwiek, ktokolwiek zabrał mi moje wierzenia; — głos jej był pełen zapалу.

— Chciałabym kawy — dodała zupełnie już innym tonem. — Sypiam bardzo źle i dlatego piję kawę, prawdziwa przewrotność. Kelner, proszę o frzy kawę.

— Co do mnie, dziękuję, nie piję — rzekł Meyer Iseacson.

— Musi pan wypić choć trochę. Nie cierpię czynić coś sama, niema w tem przyjemności jeśli się z kimś nie dzieli. Tak przynajmniej — spojrzała na Armine'a — każda kobieta myśli.

— Jakże wiele nieszczęśliwych kobiet być musi.

Nastąpiła chwila milczenia. W głosie, którym Ms. Chepstow wypowiedziała ostatnie słowa, było coś, co rozmowę przerwało. Meyer Iseacson uczuł poraż pierwszy tego wieczoru, że może ujrzał błysk jej prawdziwego charakteru, że się zbliżył do pierwiastka jej kobiecości.

Kelner przyniósł kawę i Ms. Chepstow dała ze śmiechem:

— Nawet jedzenie, jak się jest sama, nie jest dla kobiety przyjemnością. Zanim panowie się nademną zlitowali, byłabym szczęśliwszą „z chems na tacy” w moim pokoju, niż przy tym stole. Ale teraz czuję się zupełnie towarzysko usposobioną. Prawda, że kawa tutaj dobra?

Była prawie wesoła. Zdawało się, że szczęście w niej zakwitło.

— Proszę się nie troszczyć o to, że raz się zdarzy noc bezsenna, doktorze Iseacson, — ciągnęła, patrząc na niego, — spełni pan dobry uczynek, pocieszy ludzką istotę, która się czuła bardzo przygnębioną. Rozmowa, którą miałam z tym lekarzem, tak okropnie na mnie wpłynęła, że sobie wciąż powtarzam, że nie wierzę temu co mówił.

Doktor Meyer Iseacson pił kawę, nie mówiąc ani słowa.

— Znajduję, że najgorsza rzecz na świecie którą można uczynić, to podkopać w kimś wiarę, przynoszącą mu pociechę — rzekł Armine z energią.

— Czy chcesz pozostawić ludzi nawet w błędzie? — spytał doktor; — dajmy na to, że widzisz kogoś, przykład swego przyjaciela, wierzącego w osobę, o której wiesz, że jest tego niegodną. Czy nie będziesz się starał go oświecić?

Mówił spokojnie, prawie obojętnie. Ms. Chepstow utkwiła w niego swe wielkie, błękitne oczy i na chwilę zapomniała o kawie.

— Możemy się starać. Ale znasz moją teorię?

— O, tak!

Meyer Iseacson uśmiechnął się, Mrs. Chepstow patrzyła to na jednego, to na drugiego.

— Jaką teorię? Czy mogę wiedzieć?

— Armine myśli... — Czy mogę Arminie?

— Naturalnie.

— Otóż Armine myśli, że wierząc w czyjaś

prawość i dobroć, pomaga się mu tem samem do stania się dobrym i prawym. Tak, że skutkiem naszej ufności, ktoś może z niegodnego, stać się wartościowym człowiekiem.

— Mr. Armine jest... — urwała. — Jaka szkoda, że świat nie jest pełen Mr. Armine'ów — rzekła łagodnie.

Armine zarumienił się jak młody chłopiec.

— Chciałabym, żeby mój lekarz poznał pana, Mr. Armine. Jeżeli pan stwarza wiarę, on niszczy swą niewiarę.

Przy tych słowach, oczy jej spotkały się ze wzrokiem Meyera Iseacsona, który wyczytał, czy też zdało się mu, że czyta w nich wrogie usposobienie, prawie groźbę.

Służba zabierała się do gaszenia świateł.

— Jeszcze nas stąd wyproszą; uprzedźmy ich, wychodząc sami. To tak okropnie, zostać wyrzucenym, przychodzi mi na myśl Ewa w krytycznej chwili swej karyery.

Wstała i szła przez salę. Kiedy przechodziła obok stolików, wszyscy, którzy przy nich jeszcze siedzieli, tak mężczyźni jak i kobiety, odwracali się za nią i przypatrywali, jak dzieci przypatrują się jakiemuś przedstawieniu. Ale Mrs. Chepstow, zdawała się nie spostrzegać, że zwraca ogólną uwagę, tylko żegnając się ze swymi towarzyszami w hall'u powiedziała:

— Czy ludzie nie są czasem okropni? Myślę, że się jest — urwała.

— Zwaryowałam — rzekła. — Dobranoc — dziękuję obu panom, że do mnie przyszli. To mi dobrze uczyniło.

— Niech pani nie zważa na tych głupców — mówił prawie szeptem Armine, trzymając przez chwilę jej rękę — proszę nie myśleć o nich, lecz o łamtych.

Patrzyła na niego, w milczeniu, skłoniła się, i odeszła.

Jak tylko się oddaliła, Meyer Iseacson rzekł do swego przyjaciela:

— Dobranoc Armine. Rad jestem, że powróciłeś, mam nadzieję, że się będziemy widywali.

— Nie odchodź jeszcze, chodź do mego pokoju na papierosa.

— Lepiej nie. Muszę wcześniej wstać, wyjeżdżam na mój spacer o w pół do ósmej.

— W takim razie pojedę z tobą.

— Jutro?

— Tak, jutro.

— Ale, czy masz konia?

— Nie, lecz wypożyczę od Simond'a.

— Nie czekaj na mnie, ale uważaj w Alei, to się spotkamy. Dobranoc mój drogi.

Sciskając mu rękę, dodał:

— Prawda, że wszystko dobrze?

— Dobrze?

— Z nią — z Mrs. Chepstow. Mogła być w szponach szatana, ale czy nie widzisz? czy nie czujesz, jak dobro w niej walczy, szukając sposobu, żeby się okazać, żeby ująć ster jej życia i zaprowadzić do spokoju i szczęścia. Żał mi tej kobiety, Iseacson, żał mi jej.

— Żałuj ją, jeśli chcesz — rzekł doktor — ale — zawałał się; coś, w wyrazie twarzy przyjaciela, przeszkodziło mu powiedzieć więcej, pomyślał, że może będzie rozsądniej nic nie mówić. Opozycja skłania pewne natury do pędzenia prosto, na oślep, takim ludziom nie należy się sprzeciwiać.

— I mnie także żał Ms. Chepstow — dodał — biedna kobieta.

I mówiąc to, mówił prawdę, ale jego litość nie miała nic wspólnego z miłością.

Czarna kawa Ms. Chepstow pozbawiła doktora Iseacsona snu tej nocy, zapełniła ją tłumem myśli. Nie starał się nawet zasnąć, ani tych myśli odganiać. Po południu był mimowoli zajęty myślą o Ms. Chepstow. Dziwił się dlaczego właściwie chciała go poznać? Teraz wiedział. Zrobiła bardzo śmiały krok. Poznała Armine'a i trafnie odczytała jego wyjątkową naturę. Zgadła, że to człowiek niepodobny do innych ludzi, instynktownie lubiący iść przeciw prądowi, a zbliżyć się do tego, od czego inni stronili. Widziała w nim rycerza przegranych spraw.

Ona była sprawą przegraną. Armine jej losem.

Armine mówił jej przed czterema dniami o Meyerze Iseacsonie. Znajac entuzjastyczne usposobienie przyjaciela, doktor się domyślał, w jaki sposób o nim mówił. A ona, mądra kobieta, którą niepowodzenie w życiu nauczyło nieufności, wiedzona kobiecym instynktem, przysłała na Cleveland-Square zbadać kraj, o którym tyle słyszała. Wrażenie, jakiego doznał doktor w swoim konsultacyjnym gabinecie, że jest ob-

serwowanym, okazało się trafne. Pacjent badał lekarza, lekko, ale dokładnie. I natychmiast postąpiła według uzyskanej wiadomości. Okazała się taką, jaką była w istocie. Dlaczego to uczyniła? ażeby mu zamknąć usta w przyszłości. Zwierzenia zostały mu uczynione, jako lekarzowi, pod osłoną symptomatów. Powiedziała mu o sobie prawdę, w jego konsultacyjnym gabinecie, ażeby nie mówił komukolwiek — nie mówił Niglowi — jaką ta prawda była.

Jej pewność w odczytywaniu charakterów, zdumiewała, nieledwie zachwycała Iseacsona. Lubił siłę i śmiałość, oceniał ich artystyczną wartość. Dzisiejszego wieczoru, w restauracji, uczyniła krok jeszcze śmielszy.

Leżąc teraz w nocy, widział jej białą twarz, jej błyszczące nad podmalowanym cieniem oczy, kiedy mówiła Niglowi se-yę kłamstw o swej rozmowie na Cleveland-Square, stawiając siebie na miejscu doktora, a jego na swoim. Cieszyła się, czyniąc to, cieszyła ogromnie i zmusiła Iseacsona do łafca na swoją nutę. Był zniewolony łączyć się z nią w jej kłamstwie — prawie pomagać.

Wiedział teraz, dlaczego była sama przy stole, dlaczego uwydatniała niepowodzenia w życiu, które obrała, opuszczenie przez mężczyzn. To było uczynione dla pobudzenia wyjątkowej natury Nigla, to była bardzo mądre.

Ale to było spalenie swej łódki.

Meyer Isaacson ściągnął brwi: Kobieta, jak Ms. Chepstow, nie pali swej łódki bez przyczyny. Co właściwie spodziewała się zarobić na ofierze swej próżności?... próżności droższej od życia dla kobiety tego typu?

Co miało być tem *qui pro quo*?

I podczas gdy noc poczyniała błędną i przechodzić w brzask, Meyer Iseacson nie spał, bał się o Nigla.

VI.

Salonik Ms. Chepstow w Savoy-Hotel, był trzymany w jasnych odcieniach zielonego i różowego koloru, które najlepiej odpowiadały jej obecnemu wyglądowi. Na pulpici pianina z różanego drzewa stały nuty Elgara „Sen Gerontinsa” otwarte na słowach: „Proficiscere anima christiana de hoc mundo!” — Wyjdź duszo chrześcijańska z tego świata.

Rozrzucone po pokoju leżały dzienniki: The Nineteenth Century and Aftes, The Quarterly Review, Times i kilka książek, pomiędzy którymi Göthe'go Faust, Maspera Mannel of Egyptian Archeology, A. Compénion to Greek Studies, Guy de Maupassant: Fort comme la Norti, d'Annunzio Hawthorne'a: „Scarlett Letters” i Emerson: „Essays”. W koszu, pod biurkiem leżał ostatni numer Winning Post, starannie podarty.

Kilka różnych róż stało w wazonie. W klatce śpiewały kanarki; dzięki artystycznej ręce, która ustawiła meble, pokój stracił swój banalny, hotelowy wygląd. Otwarte okna wychodziły na balkon, widać z nich było przystań Tamizy, lekki wierzyk poruszał białe i zielone firanki.

Do tego milego i ładnego pokoju, Nigel został punkt o piętej wprowadzony przez hotelowego lokaja, który go zapewnił, że natychmiast zawiadomi Ms. Chepstow o jego przybyciu.

Jak tylko drzwi za służącym się zamknęły, Nigel rozglądał się naokoło. To była jego pierwsza wizyta u Mrs. Chepstow, szukał śladów jej osobistości w pokoju, w którym przebywała. Pomyślał, że salonik wygląda niezwykle ładnie i gustownie, jak na hotelowy pokój. Nie zauważył tego, coby zaraz spostrzegł Iseacson, że umeblowanie było zręcznie przedstawione. Nie było ani fotografii, ani haftów, jedna czy dwie extra poduszki, kilka pięknych róż, kanarki, parę ślicznie oprawionych książek, świeże powietrze wchodzące przez otwarte okna. I stało otwarte pianino.

Podszedł do niego i nachylił się: Proficiscere anima christiana de hoc mundo! — Wyjdź duszo chrześcijańska z tego świata!

A więc lubiła Gerontinsa, ten muzykalny wyraz cudów i tajemnic duszy! Nie pamiętał o tem, że jej sam powiedział, że tę pieśń lubi. Stał i patrzył w nuty. Lekki podmuch wiatru wchodził przez otwarte okna i firanki cicho szeleściły, kanarki śpiewały, a Niglowi zdawało się, że słyszy głos księdza, przy boku umierającego człowieka, głos mówiący duszy, żeby wracała do swego Stwórcy — że czuje tajemniczy, straszny, a jednak tak piękny akt umierania. I dusza jego uniosła się wysoko w zaświaty.

(Ciąg dalszy nastąpi).